

Kronika

tygodniowa

Zajrzawszy przypadkiem do „Kalendarza familijnego na rok 1921“, wydanego w Dukaral „Nowości ilustrowanych“, przekonał się kronikarz ku swojemu ogromnemu przerażeniu, że karnawał się już kończy, gdy on dotąd nie miał nawet sposobności choćby rozpedzić się do tańca, paczka zaś nie zjadł ani jednego, a nawet go nie widział..

Kronika niniejsza jest zatem ostatnią karnawałową. Z pod znaku paczka, którego nie było, przechodzimy pod znak śledzia, którego również nie będzie, któż go nam bowiem dostarczy, choćby nawet w stanie zgnitym, gdy „Puzapp“, to jest Państwowy Urząd zniechęcania apetytu przez pasek, przechodzi w dobrą zasłużony stan spoczynku. Zostają wprowadzić paskarza, i u nich można się zaopatrzyć także w śledzie, ale na to trzeba być milionerem, a nie dziennikarzem dziadodwodem.

Było zatem Bzto Narodzenie bez ryb i struśli, karnawał bez paczków, słuszną zatem i sprawiedliwą jest rzeczą, aby i post był bez śledzi. Miała wojna światowa zmienić dotychczasowe stosunki, zmieniła je też ale bynajmniej nie na lepsze. Nawet w Popielec, który przypada już na dzień 9 lutego, nie będzie czem posypać głowy na znak pokuty, bo i skąd się ma wzięć popioł, skoro się w plecach nie pali z powodu braku węgla.

Mimowoli, choć to jeszcze karnawał, tłusty czwarte w zanadru, zapusty o krok za nim, zaczyna kronikarz nastrojać się na żalostną nutę i, choć ma zamiar poświęcić kilka słów wspomnienia karnawałowi, w którym osobiście nie brał udziału, obawia się by ta wzmianka nie miała już charakteru wielkopostnych, żalostnych rozmyślań.

Tegoroczny karnawał był wprawdzie bardzo krótki, ale też i bardzo huczny. Zaczął się wcześniej niż zwykle, bo już w drugi dzień świąt Bztego Narodzenia, zabaw publicznych na rozmaitego rodzaju dobroczynne cele było tyle, że poprostu trudno je zliczyć. Nie było dnia, aby pisma codzienne nie przynosiły zawiadomienia o jakimś balu, redacie lub czemś podobnem, a że zajmowano się tem seryo, świadczy choćby tylko apel jednego z komitetów, zwracającego się do pań z wezwaniem, aby się postarały o „stylowe fryzury“.

Można sobie wyobrazić, ile za taką „stylową fryzurą“ trzeba zapłacić, jeżeli kronikarza kosztowało czterdzieści marek doprowadzenie do porządku zupełnie nie stylowej łysiny, przyczem golibroda nie miał zbyt wiele roboty. Za „stylową fryzurą“ trzeba też stylowo płacić, a na to stać nie każdego.

Pani kronikarzkowej, czyli tak zwanej popularnie „Weronice“ zachciało się też bodajby raz wyprowadzić swe przekwitające już łatorośle na targ małżeński, pokazało się przecież, że projekt ten ma zbyt wiele wspólnego z... kwadraturą koła, to jest, że nie jest ziszczalny. Obliczono na radzie familijnej, iż na pokrycie kosztów podobnej wyprawy po złote ranno, trzeba nadzwyczajnych kredytów, idących w dziesiątki tysięcy, a na to kronikarska kasa nie pozwala. Jest w niej wprawdzie dość zer, ale one mają dopiero wtedy wartość, gdy je poprzedza jakaś cyfra, a o nią właśnie najtrudniej.

Musiałby zatem zrezygnować niewlasty z wykonania zamiaru i odtoczyć to na lepsze czasy. Ciekawo dotąd cierpliwie na oblubienicę, mogą (i muszą) poczekać jeszcze, zwłaszcza, że dziś o kandydata na dożganego towarzysza daleko trudniej, niż to było przed wojną. Młodzieńcy, poczynając od tych, którym się dopiero zaczynają sypać włosy, skończywszy zaś na wylisiałych już „emerytach stanu kawalerskiego“, poznali swą wartość i, idąc za ogólnym duchem czasu, „podskoczyli też w cenie“, kładąc sobie dobrze płacić za utratę wolności. A kronikarz, prócz błogosławieństwa na drogę życia i zapewnienia, że, o ile kupi premiówkę i wygra milion, to podzieli się nim z zięćmi, więcej dać nie może.

Pieć nadobna spuściła t z odpowiednio z tonu i nie stawia już na ogół tak wygórowanych wymagań, jak to było przed wojną, ale i to nie pomaga. Dawniej czekała każda dziewczyna na jakiegoś królewicza z bajki, któryby przybył po nią w złocistej karecie i wywioził potem do czarodziejskiego pałacu na Szklanej górze, przeblerała też między starającymi się o jej rękę, posag i t. d., niczem w uległościach, dziś byłaby zadowolona, gdyby przybył zwykły fikajlarski drynda, albo nawet i plechota, i wyprowadził ją z domu rodzicielskiego, niechby nawet i na trzecie lub czwarte piętro,

była „na swoje“, gdzie mogłaby rozkazywać, a nie była zmuszoną słuchać.

Karnawałowe targi małżeńskie były też bardzo ożywione. Popyt na ogół był wielki, ale podaż mała. Skutki wojny dają się i tutaj odczuwać. Zniechęty się role, teraz kandydaci do stanu małżeńskiego stali się bardzo wymagający i ani rusz ich zadowolili.

Kronikarskie łatorośle wędrując będą zatem dalej i czekać, co im przyjdzie o tyle z łatwością, iż miały już czas do tego się przyzwyczaić.

Bal... Nie tylko Weronika miała „balowe zachcianki“, coś podobnego lazło po głowie i kronikarzowi. Chciał mimowoli urządzić wielki bal Cytelników *Nowości ilustrowanych*, pokazało się przecież, że aż do Popielca włącznie nie zdobędzie nigdzie sal, gdyż wszystkie zajęte, a i o muzykantów trudno. Wojskowi i cywilni są poprostu rozrywani, gdyby ich było i dwa razy więcej, jeszcze nie mieliby powodu narzekać na brak zajęcia.

Projekt pozostał zatem w sferze projektów i niewiadomo kiedy się doczeka zrealizowania. O ile się stosunki poprawią, może w roku przyszłym.

Charakterystyczną cechą obecnego karnawału był natomiast prawie zupełny zwalik dawniej tak popularnych pikników familijnych (tańczących paczki...). Bawiono się zwykle na nich doskonale, a najlepiej na tem wychodziła rodzina, w której mieszkaniu się odbywały. Z „pólmisków“ (naturalnie nie próżnych!), dostarczonych przez poszczególne domy, zostawało zwykle tyle, iż co najmniej przez dwa tygodnie miało się wyżywienie zapewnione.

Niejedno małżeństwo dziś bardzo szczęśliwe, skójarzenie zawiązała takiemu piknikowi, specjalnie zaś n. p. południowy garnitur, dostarczonej przez dom państwa X. lub Y. Snakowała ogólnie, kawalerowie, troskliwi zawsze o swe żółdki, dopytywali się też ciekawie, skąd pochodził, aby w najbliższym czasie przypuścić jeneralny szturm do serca córki i zapewnić sobie na przyszłość smaczne, zdrowe i tanie obiady pod swym własnym dachem. Wiedzieli o tem mamy, że drogą na żółdek najłatwiej zdobyć serce młodego człowieka i poprowadzić go przed ołtarz, sadziły się więc, aby „pólmiski“, wychodzące z ich kuchni, przedstawiły się jak najokazalej, bo tu wchodziło w grę szczęście ich córki i jej przyszły los. Korzystali z tego oczywiście i ci „ptakowie niebiescy“, którym małżeństwo nie było w głowie, uczęszczali bardzo licznie na takie prywatne zabawy, aby sobie podjąć śniadanie i smacznie. Nie brakło zatem danserów. O ile przyjęcie było gorące, przekąski gorące, była też i zabawa gorąca, gospodarstwo zachęcało też do niej całym sercem, mając na względzie, aby z „darów Bożych“ jak największej dla nich pozostało. Nazajutrz odbywały się zwykle „poprawiny“, ale już w ściślejszym kółku, poczem reszta zapasów wędrowała do spizancji, wychodząc na pożytek jedynie tylko domowi, który piknik familijny urządził.

Dziś trudno się z czemś podobnem spotkać tu i ówdzie, gdzie są panny na wydaniu, a fandasze nie pozwalają na wyprowadzenie ich na bal publiczny, urządzić się wprawdzie coś podobnego, ale jest to tylko nieudana imitacja dawnych czasów. Jedynie przyjęcie pozostało gorące, przekąski, o ile są, są natomiast zimne, nie też dziwnego, że i zabawa się nie kłie, a młodzi ludzie, zwąchawszy pismo nosem, że z kuchni nie dolatują przyjemnie nos drażniące zapachy, wynoszą się po angielstwu narzekając zupełnie słusznie na zanik staropolskiej gościnności, z której słynął szczególnie Kraków, co dało nawet ś. p. Błuszkemu temat do napisania doskonałej komedii p. t. „Dom otwarty“. Choć czasy się zmieniły, nie straciła ona nic na swej aktualności.

Zmieniają się czasy, z nimi zmieniają się i ludzie, a zarazem i ich obyczaje. Karnawał jest obecnie bardziej huczny, ale mniej treściwy i ogromnie przypomina ogień sztuczny, po których nie nie zostaje, ognia trochę i dymu.

I gdyby ktoś postawił pytanie, z jakich sfer rekrutowali się ci, którzy tak się hucznie bawili i gdzie szukać powodu, odpowiedź nie byłaby trudna. Bawili się wszyscy, których stać było na to, a takich jest dość, nie brakło pownie i takich, którzy w zabawie szukali jedynie zapomnienia swych kłopotów i ci, rzecz można, bawili się z... prawdziwą wściekłością, mówiąc sobie: „Raz kozie śmierć!“. Niejednemu udało się też w szale zabawy znaleźć zapomnienie, niestety, tylko chwilowe. Obudzenie się nazajutrz po tak hucznie spędzonej nocy przynosi refleksję, i do dawnych kłopotów przybył nowy, a tym szczerba, jaką w budzie wytworzyły wydatki balowe... Ale to znów powód do dalszej zabawy i szukania zagłuszenia.

Stare „mamuty“, a do tych i kronikarz się zalicza, nie wdychają zbyt do karnawałowych przyjemności. Ten i ów, mając rodzinę, czasem pójść musi, niejednemu prowadził tam interes, większość przecież, obliczwszy się dokładnie, powiada sobie: „Nie będę

w karnawale szalał, nie będę musiał pokutować we wielki post...“ i zostaje w domu.

Dla nich karnawał właściwie nie istnieje, a wielki post trwa rok cały, zwłaszcza w obecnych warunkach, jakie wojna wytworzyła.

I to właśnie, zamiast dać temat do peanów na cześć karnawału, nadaje się raczej do rozmyślań wielkopostnych, które będą tem przykrejszą, że sytuacja z dnia na dzień staje się coraz trudniejsza, a tu trzeba powoli myśleć o przygotowaniach do Wielkanocy. Te sześć tygodni postu, jakie mamy przed sobą, zleca niepostrzeżenie, z pod znaku śledzia (którego nie było...), trzeba będzie przejść pod znak szynki i kiełbasy, a dopiero wówczas przekona się każdy (o ile nie jest paskarzem, lichwiarzem i t. p.) że, zamiast „Aluluja“, trzeba śpiewać w dalszym ciągu... gorzkie żale.

Oj, wyróciła ta wojna świat do góry nogami... Czy kto słyszał u nas kiedy o karnawale bez paczków, o Popielecu bez popiołu, o wielkim poście bez śledzi, a jak dalszy ciąg każe się spodziewać, i o Wielkanocy bez szynki i kiełbasy?... Wprawdzie z powodu braku tych artykułów nikt dotąd nie umarł, ale w każdym razie jakoś człowiekowi nieswojsko, gdy się musi obejść bez tego, do czego się z dawien dawna przyzwyczaił i dlatego też niejedni zadaje sobie pytanie:

— I pocóż właściwie toczyło się tę wojnę i tyle strat poniosło?...

Odpowiedź na to pytanie, to materia do rozpałoty wielkopostnych. Nawet ci, którzy osobiście przyczynili się do jej wybuchu, mieliby dość kłopotu z odpowiedzią, temsamem zaś przyjdzie to z trudnością kronikarzowi, który z polityką wogóle nigdy nie miał nic wspólnego. Będzie to pewnego rodzaju umartwienie wielkopostne, jeżeli nie za winy popełnione w karnawale, to bodaj zaliczki na rachunek przyszłej szczęśliwości.

Zignamy zatem karnawał bez wielkiego żalu, ale w tej nadziei, że następny będzie lepszy, a kto wie, czy ze względu na owo wywrócenie się stosunków do góry nogami, wielki post, zamiast smutków, nie przyniesie nam radości...

W latach przedwojennych ogłaszali w tym czasie biskupi listy pasterzkie z pouczeniem dla wiernych, jak się mają w czasie wielkiego postu zachowywać, aby Pana Boga grzechem obżarstwa nie obrazić. Osobom niektórym, które tego potrzebowały, udzielano dyspenzy.

Terazniejsze stosunki się zmieniły. Kościół zastępuje ministerstwo aprowizacji, które wielki post rozciąga z dni czterdziestu na czas nieograniczony i zapowiada rozmaite ograniczenia w odżywianiu się obywateli, mając na celu nie tyle zbawienie ich duszy, ile ulżenie samemu sobie. Od wielkopostnych norm rządowych niema też dyspenzy. Ogłoszeniem ich nowy minister aprowizacji inauguruje objęcie przez siebie rządów nad naszymi żołądkami po paqu Słwińskim, który bynajmniej nie zasłużył sobie na ich wdzięczność, wspominając go też niezbyt mile. Nowe ograniczenie aprowizacyjne (dwudniowe wstrzymanie się od mięsa, zakaz wyrobu wędlin, unormowanie czasu sprzedaży mleka i t. p.) powitane zostały z uznaniem przez... paskarzy, powiadających sobie, że znów nadarza się sposobność dobrego zarobku. Zakaz będzie sobie istniał na papierze, tu i ówdzie przyłapią władza jakąś babinę, sprzedającą mleko w czasie zakazany i będą się tem chwalić, niczem kurs, zniósłszy jejo, kto jednak będzie miał ochotę i pieniądze, kupi wszystko, ale po cenach do ostateczności wyśrubowanych, gdyż lichwiarz żywnościowy lub paskarz kate sobie zapłacić i za strach i na poczet ewentualnej grzywny, gdyby go przypadkiem dojrzało „czujne“ oko władzy.

Dla nie obliwających zbytnio w gotówkę, wielki post zapowiada ale więc niezbyt ponętne, co im przecież może wyjść tylko na duszny i cielesny pożytek. Duszę zbawia, żołądek nie obciąża i nie naraża się na wejście w bliższą styczność z apteką. A nie trzeba zapominać o tem, że chorowanie i leczenie należy dziś do zbytków, na jakie mogą sobie pozwolić jedynie ludzie bardzo zasobni.

W swym liście pasterskim do głodnych powinien pan minister aprowizacji powołać się na piękny przykład ś. p. bismistrza z Córki, Mac Svineya, który udowodnił, że można się cały kwartał zupełnie wstrzymać od jedzenia (ile się przez to oszczędzi!) i, gdyby nie był przypadkowo umarł z głodu i wycieńczenia, byłby z pewnością żył do dnia dzisiejszego.

Nasładowców, wprawdzie na mniejszą skalę, ma on u nas już dość, zwłaszcza pośród tak zwanego „proletariatu inteligencji“, umartwiającej się stała przymusowym postem.